

marta bijan

MELODIA

MGIEŁ

DZIENNYCH



marta bijan

**MELODIA
MGIEŁ
DZIENNYCH**



Redaktorzy prowadzący: Ewelina Sokalska, Wojciech Ciuraj

Wydawcy: Monika Rossiter, Wojciech Ciuraj

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Marta Róża Żak

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2020 by Marta Bijan

Copyright © 2025, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-204-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



I

Tabletka rozpuszcza mi się w ustach, jest chropowata i wypełniona czymś gorzkim jak samo piekło.

Melodia wciąga mleczną drogę rozsypaną na metalowym blacie, w którym odbijają się jej szeroko rozwarte nozdrza.

Blat wygląda jak element wyposażenia prosektorium. Podczas gdy Melodia wydaje z siebie zwierzęcy odgłos, a jej gałki oczne wywracają się do góry, ja czekam, aż moja przyjaciółka bez recepty zacznie działać. Serce wyskakuje z piersi, czuję bicie pulsu na szyi, dotykam opuszką tętnicy – pod palcem skóra wybrzusza się jak uwięzione żyjątko.

Jestem kobietą niewidzialną i muszę leczyć się na niewidzialność.

– Wszyscy czekają! – krzyczą usta organizatorki pociągnięte trupim matowym sztyftem. – Mamy pół godziny opóźnienia.

Melodia wykonuje znak krzyża i zamiast powiedzieć „amen”, głośno pociąga nosem. Przeglądając się w gładkiej tafli blatu, wklepuje palcem puder w popękane naczynka, które właśnie rozlały się przy jej nozdrzach. Mijając mnie,

rzuca jedno spojrzenie, które znam na pamięć, a potem przedziera się przez zakurzoną kurtynę teatru.

Pompa spowalnia, tabletka ratuje mnie od arytmii, obejmuje bezpiecznymi mackami. Niewidzialność przestaje wbijać we mnie igły; już boli mniej. Za jakiś czas pomyślę o silniejszych przyjaciółach, a nawet się od nich uzależnię, ale na razie słucham jej syreniego śpiewu. Melodia już płynie na scenie, w głośnikach i w moich żyłach.

– Dzisiejszej nocy zabiorę państwa do mojego wszechświata. – Słyszę głos zniekształcony przez oldschoolowy mikrofon.

Przepadam.

7

Przedzieram się przez tłum płaczących, pachnących kwaśnym potem i mieszanką tanich perfum, plastelinowych ciał. Czuję na sobie ich lepką skórę, miękką jak glina.

– Proszę o przejście! – Mój głos brzmi obco, jest lektorem filmu, z którym nie chcę mieć nic wspólnego.

Oślaniam Melodię swoim ciałem. Niewidzialnym ciałem utkanym z niewidzialnych tkanek i żalonych prób zaistnienia. Na nadgarstkach pulsują wytatuowane gałęzie bluszczu.

Melodia ma pochyloną głowę, błękitne włosy opadają jej na twarz. Idzie jak zombie, bo zaraz po wejściu do busa puści pawia do termicznej torby, ale wygląda na wycofaną artystkę, która zatopiła się w swoich myślowych konstelacjach.

Jest konstelacją sama w sobie.

Jednoelementowym gwiazdozbiorem.
Gwiazdozbiorem doskonałym – jak Rajski Ptak.

7

Trzymam jej włosy. Proszę kierowcę, żeby wyłączył radio.
– „Lodowce topnieją, śnieg na ulicach Warszawy topnieje, a moje serce topnieje, gdy słucham najlepszej artystki w tym kraju. *Biegun półdzienny* znów pierwszy na liście notowań...”

Nucę w myślach *Marsz żałobny* Chopina.

– Myślisz, że dziś było dobrze? – pyta Melodia między jednym szarpnięciem torsji a kolejnym.

– Zawsze jest – odpowiadam z uśmiechem.

Odpowiada uśmiechem i wymiotuje dalej.

*Na biegun półdzienny zmierzam całą noc
Bo pół dnia to wieczność, a reszta to coś
Mgliste uniki ciszy, migawki błękitu
Biegun półdzienny, mój biegun.*

7

Moja szuflada pęka w szwach od historii; słów, skrawków, momentów.

Prawie wcale nie sypiam. Patrzą na geometryczne układy scalone miasta oczami o przekrwionych białkach, ściskam kubek kawy, którą wlewam w siebie litrami.

Nie wezmę do ust tabletki nasennej, bo boję się, że ominie mnie koniec świata.

Liczę wzory na tandetnych zasłonach tanich hoteli, kiedy mamy koncert w jednej z mniejszych miejscowości. W takie noce jak ta do mojej szuflady trafia kolejna historia.

Historia o niewidzialnej kobiecie.

Kiedyś szuflada istniała naprawdę w domu mojej babki, była stara i drewniana, czasem wypadła, gdy wysunęło się ją zbyt gwałtownie. Teraz mieści się w wirtualnej przestrzeni.

– Ty ciągle z głową w chmurach, ja z danymi w chmurze. – Mój głos brzmi groteskowo przy akompaniamencie kopulacyjnych jęków Melodii i realizatora dźwięku. Ściany są cienkie, zrobione najprawdopodobniej z tektury.

Zapalam papierosa, mimo że wciąż nie nauczyłam się palić. Nabieram dymu w usta, chwilę go trzymam i wydmuchuję.

Melodia często pojawia się w zatłoczonych miejscach, obleganych przez paparazzich, z grubym papierosem między wargami. Tłumaczę jej, że może nie powinna, a ona zbywa mnie za każdym razem:

– To artystyczne.

Wyrzucam niedopałek na brudny skwer przed hotelem. Gorące powietrze uderza mnie przez otwarte okno, woń lata miesza się z zapachem zagrzybionej klimatyzacji. Przyciskam palce do skroni, która zaczyna lekko pulsować. Do szuflady wpada kilka niekomfortowych słów.

II

Siedzimy w hotelowej restauracji.

Moczę w kawie kostkę cukru, czuję, jak rozpada się pod moimi palcami. Chciałabym wiedzieć, pod którymi palcami ja się rozpadam.

Melodia przeżuwa parówkę, z której wypływają duże ilości wody. Potem nabiera na łyżkę keczup i wsuwa sobie do ust. Gapi się w ekran telefonu. Ma wczorajszy makijaż i brokat na całej twarzy. Lśni w porannym słońcu sączącym się z okien. Lśni nawet tutaj.

Łyk kawy, rozkruszenie tabletki.

– Ludzie piszą, że byłam naćpana na koncercie. – Dłoń pokryta siecią błękitnych żył unosi się, by dotknąć błękitnych włosów. Nawija jeden kosmyk na palec, jakby kogoś kokietowała. Robi to zawsze, nawet kiedy nikt nie patrzy. – Dasz wiarę?

– Bo byłeś – mówię, rozpuszczając czwartą już kostkę cukru w małej filiżance.

Melodia patrzy na mnie przekrwionymi oczami, pod którymi rozciągają się ciemne półksiężycy. Puszcza nawi-

niętą na palec błękitną spiralę, która zastyga w tej formie, bo włosy są sztywne od lakieru z wczorajszego wieczoru.

– Przerwijmy trasę. Powinam zniknąć. Pomyślałam, że nie żyję. – Jej głos wypełnia coraz większe podniecenie, rwie zębami kęsy bagietki, jakby nie jadła od miesiąca. – Napisałam wszędzie, że wzięłam złoty strzał, a ja nagle wrzucę klip, w którym przeszywa mnie złota strzała. To będzie prawdziwa sztuka!

Piąta kostka cukru. Druga pokruszona tabletką.

7

Mam długie, wykrzywione palce. Osiem lat dzieciństwa spędzonych przy starym fortepianie w domu kultury zaowocowało kilkoma występami na wieczorkach dla seniorów, a nawet wyróżnieniem w wojewódzkim konkursie dla pianistów. Dostałam smycz z logo województwa i dyplom z literówką w nazwisku.

Melodia wielokrotnie prosiła mnie, żebym dla niej grała. Powiedziałam, że zapomniałam, jak czytać nuty.

Gry na fortepianie się nie zapomina. Gram nawet w śnie, gram *Symfonię tragiczną* Schuberta na wielkiej scenie, a anonimowy tłum nie mruczy z uznaniem, bo milczy. Milczy, bo zapiera mu dech. Zapiera mu dech, bo w tym śnie jestem wybitną pianistką.

Skomponowałam wiele własnych utworów. Napisałam do nich teksty. Długo wisały w próżni, gdzieś między moim tchórzostwem a najgłębszymi czeluściami szuflady.

7

– Nie gryź tego długopisu – rzucam w pustkę, bo nikt nie słucha.

Granatowa rzeka wylewa się z ust Melodii. Ssie najnowszego parkera, prezent od Prezydenta Miasta.

Patrzy w pustkę, bo nikt nie widzi. Zabarwiona ślina spływa po jej brodzie. W zamyśleniu wciąga strużkę z powrotem z głośnym siorbnięciem.

– Co będzie brzmieć tak, no wiesz, nieoczywiście? – Wyrzuca z siebie ostatnie słowo z namaszczeniem. – Lwia Panna śpiewa o anielskim młynie. To jest coś. Anielski zamiast diabelski, rozumiesz? Potrzebuję czegoś takiego.

Lwia Panna to performerka, artystka wybitna, która zamienia w sztukę wszystko, czego dotknie jej głos, palce. Jestem pod wrażeniem, że Melodii przeszło przez gardło porównanie do niej.

– Biegun półdzienny – mówi głos filmowego lektora.

Melodia nie reaguje, ciamkając końcówkę długopisu. W końcu patrzy na mnie okrągłymi jak monety oczami. Źrenice ma tak duże, że wyglądają, jakby miały się wylać poza błękitną otoczkę.

– Biegun półdzienny – powtarza chrypliwym głosem, tonem poety przekłętogo. – Biegun półdzienny... Tak. Biegun półdzienny. Biegun półdzienny. Dobrze!

Powtórzyła to tyle razy, że zdążyła uwierzyć, że te dwa słowa zrodziły się pod tą błękitną kopułą. Wbija parkera w swój notes, rozlewając tusz na kartkę. Palce też ma niebieskie, pisze jedno zdanie, po czym nagle zaczyna podziwiać swoją dłoń. Wykonuje artystyczne ruchy palcami. Widzę, jak pod jej czaszką kotłują się myśli – myśli, czy to, co robi, na pewno jest wystarczająco odjechane.

Artystyczne, brudne od tuszu palce. Artystycznie artystyczne kości poplamionych tuszem palców. Artystyczne obgryzione brokatowe paznokcie artystki. Dłonie zmęczone tworzeniem artystki kompletnej. Zmęczonej tworzeniem doskonałego dzieła artystki doskonałej.

Artystki z Bieguna Półdziennego.

– Świat artystów jest piękny – mówi Melodia zniżonym głosem. Jest gotowa wygłosić przemówienie. – Jednak więcej w nim rzeczy nierealnych. Ludzie tacy jak ty, twardo stąpający po ziemi, niebudujący zamków na lodzie, marzą o wypadzie do klubu, dobrym ziele, totalnym chilloucie. To dość łatwy cel, więc szybko osiągniecie spełnienie. My marzymy o locie w kosmos, zdobyciu Księżyca. Każdy z nas patrzy co noc na swój Księżyc i próbuje odnaleźć do niego drogę – poprzez tworzenie – w głębi duszy mając świadomość, że w rzeczywistości nigdy tam nie dotrze. Zostaliśmy skazani na wieczny niedosyt już w chwili narodzin, już wtedy obraliśmy sobie nieosiągalny na tym świecie cel. Pragniemy czegoś wyimaginowanego, co być może istnieje, ale na pewno nie tutaj. Dlatego chcemy umrzeć, by odnaleźć sens w śmierci. Gdzieś musi on być.

Przypominam sobie te wszystkie słowa, nabazgrane pewnej wietrznej nocy w moim pamiętniku, który ukryłam pod poduszką. Wiele lat temu. Krew odpływa mi z twarzy. Już otwieram usta, już nabieram powietrza, by spytać.

– Powiedziałam to ostatnio na koncercie. – Granatowe plamy na wargach Melodii rozwierają się jak wystrzępione jeziora. – Byli zachwyceni. Na haju mam takie ciekawe refleksje. Jakie może być najbardziej poetyckie porównanie na koniec refrenu? Mgliste poranki i myśli, migawki chwil?

– Mgliste uniki ciszy, migawki błękitu – mówię ze spojrzeniem utkwionym w błękitnych włosach. Kruszę w dłoniach przyjaciółkę bez recepty.

– Mgliste uniki ciszy, migawki błękitu... Mgliste uniki ciszy, migawki błękitu. Dobrze.

Odgłos skrobania w notesie.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)